Nr. 2. 21. Stycznia 1873. Tom VII.

Rok XIV.
Wychodzi we Lwowie co 15 dni, to jest 7. i 21. każdego miesiąca. Redakcja i administracja przy ulicy Mickiewicza l. 24.

DZWONEK

Pismo dla Ludu.

Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 4 złr. rocznie, 2 złr. półrocznie. W Prusach 3 tal. r. $1^1/_2$ tal. półrocznie.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Abecadło o chlebie.

A, B, C,

Chleba chcę,
Lecz i wiedzieć mi się godzi,
Z czego też to chleb się rodzi?

D, E, F,

Naprzód siew.
Rolnik orze ziemię czarną
I pod skibę rzuca ziarno.

H, K, J(ot),

Ziarno w lot,
Zakiełkuje w ziemi łonie
I kłos buja na zagonie.

Ł, i L,

Gdy już cel
Osiągnięty gospodarza,
Zboże wiozą do młynarza.

M, N, O,

Każde źdźbło
Za obrotem kół, kamienia
W białą mąkę się zamienia.

P, Q, S,

Tu już kres!
Z młyna piekarz makę bierze
I na zacier rzuca w dzieże.

R, T, U,

I co tchu
W piec ogromny wkłada ciasto,
By chleb miały wieś i miasto.

W, X, Z,

I chleb wnet!
Patrzcie, ile rąk potrzeba,
Aby mieć bochenek chleba.

Wł. Bełza.

POWIASTKA.

Nie pamięta, ani dziad, ani pradziad, i wielu a wielu praojców naszych starego, Polanina. Dzielny to był waleczny wojownik, mądry doradca i rozumny a trzeźwy i pracowity gospodarz; przedziwną posiadał chatę i rolę, że jej granic okiem nie obejmiesz, i chudoby tyle, że jej sam nawet zliczyć nie potrafił.

Rządny, dzielny, cnotliwy i pracowity — nie dziw, że i Bogu i ludziom był miły. I we wszyskiem czuć było boże błogosławieństwo.

Rodzinę miał liczną, bardzo liczną: synów i córki dorodne, braci przychylnych i serdecznych, siostry, krewnych i przyjaciół po wszystkich stronach świata.

Choć bogacz, jakich nie bywało, skromny był i pokorny, choć waleczny i możny, nigdy bliźniego nie skrzywdził. Przyjaciołom dopomagał pierwszy, nieprzyjaciół odganiał jak najdalej; gości przyjmował hojnie i całem sercem.

Tak wśród szczęścia i poważania, pobożnie i wesoło długie przeżył lata. Ale życie to, choćby i najdłuższe, doczesnem jest i znikomem. Czuł staruszek, że się zbliżyła jego ostatnia godzina. Więc synów i córki i staruszkę żonę zwołuje do siebie i powiada:

— Może już jutro, a może i dziś oczy moje oglądać was nie będą. Pójdę tam, gdzie człowiekowi iść przeznaczono. Słów wiele wam nie powiem. Prawda cała w kilku da się wypowiedzieć słowach. Żyjcie tak, jak gdyby zawsze bóstwo na was patrzyło, a więc w zgodzie i miłości wzajemnej, a będziecie potężni i silni i bóstwo wam pobłogosławi. Boć cała nauka mądrości, to miłość. Pycha i samolubstwo zgubi was. — Póki zachowacie w sercu, to co wam powiadam, póty będziecie szczęśliwi i poważani — mówił już

ciższym głosem staruszek. — Liczne jak wiecie mam posiadłości i tak wam podzielić się rozkazuję: Ty najstarszy Mazurze osiędziesz w chacie mojej i wszystka rola od gór, aż daleko po morze i rzekę na wschód do ciebie należeć będzie. Ty średni Rusinie pójdziesz na wschód, nad wielką ową rzekę, kędyśmy się oba nieraz przeprawiali i zajmiesz okolicę szeroką i wielką, żyzną, mlekiem i miodem płynącą. To ziemia pusta i nieludna, ale ubłogosławiona wielkiemi bogactwy. Ale tylko w zgodzie i miłości z bratem twoim najstarszym utrzymasz posiadanie ojcowskie, bo tam nieprzyjaciele są liczni i silni. Ty trzeci mój synu pójdziesz na zachód i zajmiesz krainę od lewego brzegu rzeki, aż po samo morze. Kraj to rozległy, równy, piasczysty, bogaty jednak w bursztyn i lasy. Potrzebuje pracy i czujności, a tyś silny i odważny. Czuwaj dzień i noc, bo nieprzyjaciel, chyłkiem, milczkiem, podstępem i otwartym bojem stara zagarnąć waszą własność. A możny jest i chytry. Lecz w połączeniu i zgodzie nikt was nie pokona i nikt wam nie sprosta.

W ten sposób rozdzielił staruszek wszystko swoje mienie między synów, córki i krewnych. Głos jego słabnął, już tylko niewyraźne słowa słychać było — „zgoda“— „miłość wzajemna“ — i wreszcie skonał.

Rozeszli się tedy synowie i córki w rozmaite strony i osiedli na wyznaczonych rolach. Minęło wiele a wiele lat, a pokolenie ich rozrosło i rozmnożyło się w miliony. A dopóki żyli według przykazań swojego pradziada, póty żaden nie śmiał zaczepiać ich nieprzyjaciel — owszem potęga ich straszną była i wielką.

I dopóki słuchali, dopóki pamiętali na słowa owego staruszka, potężni byli i silni. Wszakże i pamięć o nim zaginęła po latach Najprzód zachwiały się obie ściany wielkiego budynku: zachodnia i wschodnia. Z zachodu chciwi zaboru Germani wpadali do kraju i ujarzmiali jedną gminę

po drugiej. Od wschodu dzikie ludy gnębiły krainę tak srodze, że się w pustynię prawie zamieniła.

Dochodził ucisk aż do serca narodu do samego środka obszernego dziedzictwa. Zdawało się, że naród cały wyginie, jak wyginęły gminy zachodnie. Ale właśnie zkąd zguba groziła, ztamtąd przyszło zbawienie.

Wśród rolników na zachodzie żył człek prosty a uczciwy, a prócz roli jeszcze i kołodziejstwem się zabawiał. Bogom wiernie służył, lunziom dopomagał, gości hojnie przyjmował, a choć nie chodził na wojnę waleczny był i odważny, choć do szkół nie chodził, bo ich jeszcze nigdy nie było, roztropny był i rozumny i wysoko mądrość poważał. Wszerz i wzdłuż, gdziekolwiek zapytałeś, wszyscy go znali.

Siedział razu pewnego przed chatą na ławeczce i dumał. Dzieci biegały po podwórzu i często przerywały ojcu pytaniami i figlami.

W tem nagle, niewiedzieć zkąd, ukazali się przed nim dwaj młodzianie w bieli. (Dok. nast.)

Stopka Jadwigi.

Było to roku, niewiem którego,
Chcesz, niech ci kto inny powie,
Dość, że budowę domu bożego
Zaczął Jagiełło w Krakowie.

Znoszą kamienie, wapno i cegły,
Na piasku kościół budują;
I fundamenta już w ziemi legły,
Murarze pilnie murują.

Gdy tak każdemu idzie budowa
W ład i nie bez ochoty,
Pewnego ranku król i królowa
Przyszli na miejsce roboty.

Każdy robotnik rozweselony,
Ze króla widzi przed sobą,
Jego przybyciem uszczęśliwiony
Cieszy się chwilą tak błogą.

I tyko jeden z owych murarzy,
Radości innych nie dzieli,
Smutek się w jego maluje twarzy
On tylko patrzy nieśmiele.

Gdy to zoczyła dobra królowa,
Uprzejmie do niego rzecze:
„Czemuś tak smutny, nie mówisz słowa?
Cóż ci to, dobry człowiecze?

„O! miłościwa pani, królowo,“
Murarz rzekł,— „smutnym być muszę,
„Z ust mych radośne nie wyjdzie słowo,
Bo smutek trapi mą duszę.“

„Wspólnej radości dzielić nie mogę
Bo żona słaba mi leży,
„Nie ma pocieszyć komu niebogę,
Ni dziatki uczyć pacierzy.“

„I z mojej lichej murarza płacy,
Ledwie utrzymam me dziatki,
Co żadnej jeszcze nie znają pracy
Ni są pomocą swej matki.“

Tak mówił biedny, aż mu łza w oku
Stanęła, po licach zbiegła:
Odszedł więc, aby jego na boku
Królowa płacz nie spostrzegła.

Królowa smutnie zwiesiła główkę,
Nie ma czem wesprzeć biednego,
Rankiem oddała całą gotówkę?—
Cóż tu już oddać dla niego.

W tem na kamieniu nóżkę swą wspiera,
Ręką dosięga trzewika,
Kosztowną spinkę z niego oddziera
I murarzowi ją wtyka.

„Weź“—rzecze „niechaj cię to wybawi
Gdy sprzedasz, grosz masz nie mały
I niechaj ulgę żonie to sprawi,
By dziatki twe nie płakały.

Przyjął dar murarz, pełen radości
I Bogu dzięki chciał składać,
Obojgu także dziękować Mości,
Obojgu do nóg upadać.

Lecz patrzy, króla już tu nie było
Królowej także nie stało,
Przykro mu zatem, gorzko, niemiło,
Iż się tak dziwnie zdziałało.

Wtem nagle ujrzał wapnem oblany
Kamień opodal leżący,
Kamień ten jego ręką ciosany
I wpatrzył się w niego drżący.

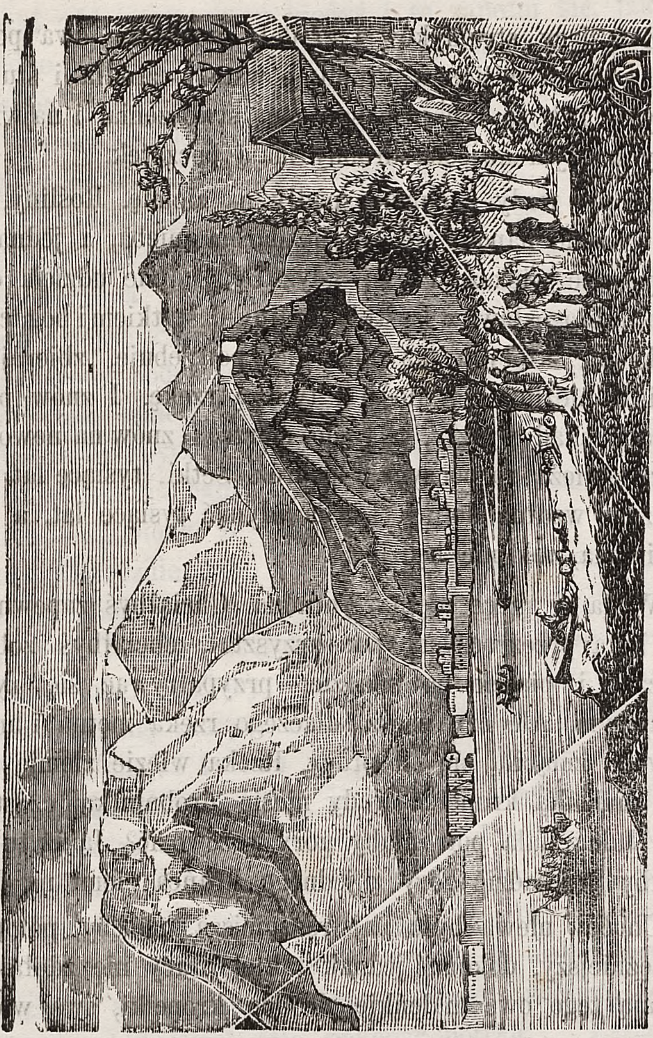
Gyż oto na tem samem kamieniu
Królowa nóżkę oparła
I postać stópki jej w okamgnieniu
Jej się trzewikiem wytarła.

I gdy to biedny murarz zobaczył,
W rękę wziął młotek i dłuto
I ślady stopki dłutem naznaczył
I wnet miał stópkę wykutą.

Kamień w kościoła ścianę wmurował,
Pamięć królowej uwieńczyć;
Bogu i Matce Bożej dziękował,
Iż mógł się tem choć odwdzięczyć.

Dokąd się kościół ten nie rozchwieje
Kamień ten zawsze tam będzie,
I o Jadwidze pamięć istnieje;
Kamień jej „stopką“ zwią wszędzie.

W. B.



Nad brzegiem.

Szeroką doliną poważnie i spokojnie płynie wspaniała rzeka. Na falach jej unoszą się łodzie, galary i statki, a w wodzie wesołe pluskają ryby.

Czekamy nad brzegiem na przewoźnika, aby się dostać na drugą stronę.

Z tysięcy strumyków i źródeł, powstała owa potężna rzeka, z kroci milionów kropli, powstały źródła i studnie, i strumyki. Tak to i największe cuda stworzenia, i największe sprawy na tym świecie, drobny mają początek.

Krople wody z chmur spadły na ziemię. Rośliny, zwierzęta i ludzie napoili się owym darem nieba, a jednak została jeszcze większa część, gdyż Bóg hojnie udziela darów swoich i błogosławi wszystkie krainy dostatkiem i bogactwem. Owe krople, których już nikt nie potrzebuje, zbierają się powoli w niezliczonej ilości i tworzą rzekę. I znów powracają tam, skąd wyszły, t. j. do morza, i znów na nowo przez chmury świeżą rozpoczynają podróż. Setki, tysiące lat płyną fale rzeki wzdłuż doliny, i będą płynąć tysiące lat, a końca jak nie ma, tak nie będzie.

Woda w rzece mętna i brudna. Chciałbyś zapewne, aby woda była przeźroczystą jak krzyształ, chciałbyś zobaczyć kamyczki i piasek na spodzie, przypatrywać się rybkom pluskającym. Ale czy wiesz, dlaczego rzeka mętna i brudna? Oto woda zmąciła się od pracy. Rzeka wiezie ziemię z gór, każda maleńka kropelka wody niesie drobniutką cząsteczkę ziemi. Jakaż fala potrafiłaby góry przewozić? Jakiż to potop zdołałby przesadzić góry z jednego krańca ziemi na drugi?

Choćby ulewa była najstraszniejszą, choćby potop był najpotężniejszy, dokonać jednak takiej pracy nie zdoła. Ale dokonają tego owe maleńkie, drobne kropelki, swą wiekową pracą.

Ludzie uczeni obliczyli nawet, ile cząstek ziemi corocznie rzeka uprowadza! Woda bowiem rozpuszcza niektóre materye, z jakich się składa ziemia, jak: wapno, gips, żelazo a nawet krzemionkę, inne znów porywa z sobą w biegu, jak glinę, łupek i t. d. Aleć powiesz zapewne, — to zniszczenie. Tak jest, to zniszczenie, ale równocześnie i tworzenie, walenie i budowanie. Tam w górze zabiera woda cząstki ziemi, przewozi je i osadza na dolinie jako ziemię urodzajną,

Ostatki oddaje morzu, a kiedyś i to zapełni się, jak się już niejedno pracą rzek zapełniło. Gdzie niegdyś szumiały fale morskie, tam teraz suchy ląd, piękne i urodzajne niwy. Nawet miejsce, po którym teraz stąpamy, morzem było zalane, a wody je wymuliły, przez wieki pracując.

Wszakże częstokroć rzeka zabiera całe brzegi wraz z ziemią urodzajną i naraz niszczy cały majątek biedaka, często zatapia i zamula pola, zasypuje je szutrem i piaskiem, a najczęściej dzieje się to powoli, z roku na rok. Wezbrane wody podmulają gliniaste lub piaszczyste brzegi, i role i łąki maleją, obrywają się i nikną. Gdy rolnik przestaje na próżnych i czczych skargach, gdy załamuje ręce i niebo oskarża napróżno, natenczas nie masz dla niego ratunku — zgubiony! A tak niestety dzieje się u nas w całym kraju. Corocznie rzeki wielkie sprawiają spustoszenia, co roku zmieniają koryta, zamieniając role i łąki w piaszczyste pustynie. Łożyska szerokie, kręte, zajmują tyle miejsca, iż i tysiące ludzi mogłoby wyżyć, gdyby rzeki uregulowano, gdyby choć odrobinę pracy i uwagi nie żałowano. Zaledwie brzegi Wisły, Dunajca i Sanu od biedy są obwarowane wałami, inne rzeki płyną jak im się podoba i robią co im się podoba, jak za czasów Adama i Ewy. I co roku wieśniaków tysiące traci całe mienie i wychodzi na żebry, a poprawy jak nie było, tak niema, a zaradzić złemu, nikomu nawet się nie śni. A przecież w wielu miejscach nader łatwo i tanio możnaby sobie pomódz. Oto wiadomo każdemu, że człowiek nawet rozhukaną falę pokonać potrafi. Zasadza brzegi wierzbiną i wiklem. Wierzby rozpościerają korzenie, jakby ramiona i ręce, chwytają miękką ziemię i chronią ją od fal — sądzę, że tym prostym sposobem wiele łąk i ról możnaby od zabrania uchronić. W innych krajach, gdzie ziemia droższa gdy nie można jej ochronić samem przesadzeniem drzew, budują ludzie kamienne tamy w rzece. O nie to rozbijają się fale. Owo kotłowanie się wody, te wirujące i tańczące bańki, świadczą o walce wody z kamiennemi obrońcami lądu.

Między tamami osadza się piasek i namuł, powstaje mielizna, i dno rzeki podnosi dopóty, aż dostanie powierzchni wody. I oto zdobył człowiek nowy kawał gruntu. Woda ściśnięta wąskim korytem, raźniej płynie, staje się głębszą i bezpieczną dla żeglarza.

Tam dalej płynie na czółnie przewoźnik po błyszczącem zwierciedle wody. Dziwisz się, że z początku inny obrał kierunek, że nie jedzie prosto ku nam, ale gdzieś w górę. On bowiem musi walczyć z prądem wody, a czółenko nie płynie ani w kierunku wiosła ani prądu, tylko środkiem między oboma kierunkami sił i wreszcie przybywa do nas. Tak i życie nasze, to walka prądów przeciwnych — rozum może tylko obraać drogę stosowną do celu.

Łódka przybiła — siadajmy!

Złudzenie Kasi.

Kasia miała do pilnowania trzy owce. Nie umiała jeszcze czytać ani pisać, ale mówiła nie źle i była bardzo dobrą dziewczynką, tylko trochę ciekawą i zmienną w upodobaniach.

Wkrótce po świętach Bożego narodzenia, owe trzy owce, dały jej trzy jagnięta, dwa zdrowe i silne, trzecie zaś tak małe, że wyglądało jak malutki królik. Matka Kasi, która się nazywała Jakubowa, mówiła, że się nieopłaci chować je, raz że zapewne długo nie pożyje, powtóre, że więcej zje, niżeli będzie warte.

Kasia słysząc te słowa, bardzo się martwiła, wolała bowiem to małe zwierzątko, stosowniejsze do swego wzrostu, niżeli każde inne. Postanowiła mieć o niem staranie, i nazwała je „Pieszczotką“, gdyż to była owieczka.

Jagnię nieraz ucierpiało skutkiem wielkiej troskliwości. Kasia kochała je zanadto, całowała bezustanku i nosiła na rękach. Koty i pieski lubią, żeby niemi się pieścić i zaj-

mować, ale baranki jak już podjedzą, wolą żeby ich pozostawiono w spokoju, natenczas spią kiedy chcą, chodzą i kładą się, kiedy im się podoba. Jakóbowa zwracała uwagę córki, że nosząc ciągle i kładąc jagnię, przeszkadza mu tylko rosnąć; lecz Kasia właśnie sobie nie życzyła, żeby „Pieszczotka“ wyrosła; owszem, chciałaby, żeby była jeszcze mniejszą, żeby zmieściła się w kieszeni. Duże owce wypędzała codziennie na paszę, na dwie godziny z rana, a na trzy po południu. Dwa większe jagnięta znosiły nieobecność matek bardzo rozsądnie, jakby rozumiały, że będzie więcej mleka za ich powrotem z pastwiska. Pieszczotka nie była tak cierpliwą, ale też miała większy apetyt, — beczała zawsze bardzo żałośnie, mianowicie, kiedy owce wracały z pola. Jęki te rozdzierały serce Kasi.

Jagniąt nie pozwalano jej wyprowadzać, gdyż były za młode, trawa zaś zanadto soczysta; lecz gdy usilnie przemawiała za Pieszczotką, Jakóbowa rzekła:

— Rób co chcesz! jeżeli zdechnie, nie wielka szkoda, może nawet będę wolała jej się pozbyć, bo tak za nią szalejesz, że już o niczem innem nie myślisz. Przyprowadzasz owce zawcześnie, albo wyganiasz je zapóźno, a to wszystko dla tego, żeby Pieszczotki nie rozłączać z matką. Weźże ją z sobą, niechaj będzie co chce!

Kasia zabrawszy jagnię w pole, trzymała je przez cały czas pod fartuszkiem, żeby nie przeziębło. Nazajutrz toż samo, lecz na trzeci dzień, sprzykrzyło jej się być niewolnicą jednego zwierzęcia; zaczęła więc na nowo bawić się i biegać jak dawniej. Pieszczotka nic na tem nie straciła, ale też i nie zyskała i nadal pozostała mizerotą.

Pewnego dnia, w którem Kasia zajęła się więcej szukaniem gniazd ptasich, niżeli pilnowaniem owiec, znalazła nad wieczorem gniazdo kosie, w którym były trzy młode ptaszki, już opierzone i czarne. Nie wydawały się bardzo dzikie, bo jak nadstawiła koniuszek palca, naśladując krzyk

samicy, otwierały żółte dzióbki tak szeroko, że aż było widać czerwone gardełka.

Ucieszona Kasia pieściła się z niemi przez całą drogę, wracając do domu i dopiero nazajutrz z rana spostrzegła, że się stało wielkie nieszczęście. Pieszczotki nie było w oborce. Została na pastwisku, przepędziła noc pod gołem niebem, pewnie ją wilki zjadły. Kasia złorzeczyła kosom, które były powodem tak okrutnego z jej strony zapomnienia. W jej sercu odezwało się całe przywiązanie do jagnięcia, zapłakana pobiegła szukać zguby.

Było to w marcu; słońce jeszcze nie weszło, a nad bagniskiem, pośroku łąki, wisiała mgła gęsta.

Kasia, narozglądawszy się na wszystkie strony, przepatrzywszy dziury, wydrążenia, płoty, przyszła nad bagno, przypuszczając, że biedna Pieszczotka w nie wpadła. Tam ujrzała rzecz, która ją mocno zadziwiła, pierwszy bowiem raz w życiu zdarzyło jej się być w tem miejsu tak wcześnie. Mgła spoczywając noc całą nad wodą, za nadejściem słońca rozdzieliła się na cząstki, pozbijała się jakby w kule, usiłując wznieść się w górę; zdawało się, że z nich niektóre, zaczepiwszy się o gałęzie wierzb, zatrzymane zostały w drodze; inne znów, popchnięte wiatrem porannym, spadły na ziemię i trzęsły się, jakby ich zimno przejmowało na wilgotnej trawie. Kasia sądziła przez chwilę, że widzi gromadkę owiec. Ale cóż jej po trzodzie całej? Ona przyszła szukać tylko Pieszczotki, a Pieszczotki tam nie było! Płakała rzewnemi łzami, położywszy głowę na kolanach, na głowie fartuszek, jak osoba zrozpaczona.

Szczęściem, że dziecko długo nie płacze; kiedy się podniosła, wszystkie kulki białe były już wysoko po nad drzewami i dążyły jeszcze wyżej, w postaci różowych obłoczków, jakby pociąganych od słońca.

Kasia patrzyła jak się rozdrabniały i rozpraszały, a spuściwszy oczy, spostrzegła dość daleko na wybrzeżu, — bagno bowiem było wielkie, — swoją Pieszczotkę śpiącą lub

nie żywą, bo leżała nieruchoma. Pobiegła natychmiast, nadstawiła fartuszek i wsunęła ją ostrożnie, potem poszła do domu dziwiąc się, że fartuszek był tak lekki, iżby przysiądz mogła, że się w nim nic nie znajduje.

— Biedna Pieszczotka, — rzekła do siebie, — jak ona się nacierpiała i schudła przez jedną noc! Zdaje się, że fartuszek jest próżny! — Zawiązawszy zaraz na miejscu jego końce do koła stanika, nie śmiała go odwiązać, żeby nie ziębić biedaczki, którą ogrzać pragnęła.

Niespodzianie, na zakręcie drogi, spotyka Piotrusia, syna szewca z wioski, biegnącego naprzeciw niej; trzymał w ręku, zgadniecie co? Pieszczotkę, żyjącą i beczącą. — „Masz — zawołał Piotruś, — oddaję ci owieczkę. Wczoraj wieczór kiedyś powracała z owcami i pokazywała mi gniazdo, ona weszła między moje, wziąwszy jedną z owiec za swoją matkę. Pozwoliłem jej, żeby się dobrze nassała i przenocowała w szopie. Odnoszę ci ją teraz, widząc, że musisz być zmartwioną. Pewnie myślałaś, że zginęła nieprawdaż? A nie chciałaś mi dać jednego ptaszka, na którego miałem taką ochotę? ale jestem lepszy od ciebie.

Uradowana Kasia, ucałowała Piotrusia i zabrawszy go z sobą do domu, dała mu dwa kosy, z czego chłopiec tak się ucieszył, że odchodząc skakał jak koźlę. Jak już się napatrzyła do woli przywitaniu Pieszczotki z matką, przyszło jej na myśl zobaczyć, co zabrała w fartuszek zamiast jagnięcia. Coby to było? — Nie wiem, rzekła, ale przecież musi coś być, niepodobna, żebym podjęła coś takiego, czegoby nie było.

Strach ją ogarnął, ale i ciekawość także. Poszła na strzechę od obórki, która dosięgała aż do ziemi; była to strzecha porosła mchem i gdzie niegdzie kwiatkami, pochodzącemi z nasion wiatrem naniesionych, pomiędzy któremi wyrastało kilka małych, zielonych kłosów zboża. Dach był niewielki, ale bardzo ładny, miękki, bo słomiany i obrócony na wschód słońca. Nieraz latem, Kasia zasnąwszy na nim

smaczno, dla wynagrodzenia sobie nocy, zawsze dla niej za krótkiej, zapominała o godzinie wypędzania owiec na paszę. Weszła teraz na sam szczyt i z największą ostrożnością rozwiązała fartuszek. Mój Boże! Co też tam było w tym fartuszku?

II.

Był to fartuszek dreliszkowy, niebieski, przerobiony z matczynego, ani świeży ani ładny, lecz w tej chwili Kasia nie oddałaby go za kupę pieniędzy, tak była ciekawą zobaczyć, co się w nim znajduje. Otworzyła go nakoniec i nie znalazła nic a nic; wytrzęsła z całych sił i nic nie wyleciało. Jednak do koła niej powstał jakiś dymek biały, zebrał się nad jej głową obłoczek kulisty, i wznosił się coraz wyżej, wyżej, przybierając zmienne barwy, — najprzód złocistą, potem blado różową, nareszcie, gdy już był nad drzewami okalającemi obórkę, poróżowiał na promieniach słońca, jak najpiękniejsza róża.

Kasia jakoś się nad tem nie zastanowiła, że podjęła i przyniosła obłok, tylko zachwycała się nad jego pięknością, żałując, że ulatywał tak prędko. — Ach niewdzięczniku!— wykrzyknęła — to tak mi się odpłacasz za to, żem cię niebu zwróciła?

Z chmurki różowej wydobył się głosik cienki i delikatny, który śpiewał słowami, ale jakiemi słowami!

III.

Kasia nie rozumiała ich wcale, patrzyła tylko na obłoczek, który się powiększył i rozdzielił na mnóstwo małych, różowych chmurek.

— Otóż to! zawołała, lecisz jak szalony ku słońcu, by cię wypiło, jak wypiło tamte na łące. Jabym cię była trzymała w fartuszku, albo w chłodzie pod wielką jabłonią, a może na kadzi, skoro wnocy lubisz przebywać nad wodą. Byłabym cię nauczyła, jak się pielęgnują obłoki, byłbyś

trwał długo, — tymczasem teraz wiatr cię rozkruszyl, a słońce cię pochłonie!

Kasia nasłuchiwała, czy chmurka co odpowie; i usłyszała zamiast jednego, mnóstwo jeszcze cieńszych głosików, które świergotały jak wróble, lecz co to świergosanie znaczyło, nie mogła się domyśleć. Oddalając się, cichły, nakoniec nic już nie było słychać, i nic nie było widać, tylko niebo czyste i jasne, bez śladu chmur.

— Mamo, rzekła do matki, która ją zawołała na śniadanie, chciałabym wiedzieć jedną rzecz.

— Jakąż to rzecz, moje dziecko?

— Co obłoki mówią, gdy śpiewają?

— Obłoki nie śpiewają, ty mała bzduro, huczą i łomoczą, gdy grzmot w nich siedzi.

— Ah, mój Boże! zawołała Kasia, nie myślałam o tem... Oby piorun nie wszedł przynajmniej do mojej chmurki różowej.

— Do jakiej chmurki? rzekła matka zdziwiona.

— Do tej, którą miałam w fartuszku.

— Cichobyś była powiedziała Jakubowa, wiesz że nie lubię, żebyś bajała bez sensu. Nie jesteś już trzechletniem dzieckiem, powinnaś mieć rozum.

Kasia nie śmiała nic już mówić. Pośniadaniu poszła w pole. Został jej jeden kos mały; zabrała go z sobą i bawiła się nim godzin parę; lecz że wstała bardzo rano, usnęła na pastwisku. Była spokojną o Pieszczotkę, pozostawiła ją bowiem wraz z innemi jagniętami w obórce.

Gdy się przebudziła leżąc na wznak, widziała tylko niebo i nad swoją głową mały obłoczek, który zebrał się w górze i snna jeden na tle niebieskiem, błyszczał jak różowe srebro Zawsze jest on bardzo ładny, myślała Kasia, na wpół senna jeszcze, ale jest daleko! Jeżeli będzie śpiewał, nie usłyszę. Chciałabym być tam, gdzie on się znajduje, mogłabym widzieć całą ziemię, chodzić po niebie z najwię-

kszą łatwością. Gdyby nie był niewdzięcznym, zabrałby mię z sobą, byłoby mi miękko na nim jak na puchu, zobaczyłabym z bliska, z czego jest słońce?

Kiedy tak błądziła w marzeniu, ptaszki śpiewały na drzewach, zdawało jej się, że się z niej naśmiewają, że mówią: ciekawska, brzydka ciekawska! Lecz zerwały się nagle i ukryły w liściach. W powietrzu ukazał się jastrząb, zataczał kręgi tuż pod obłoczkiem różowym. — Niechaj mię nazywają ciekawą, kiedy chcą, mówiła Kasia dalej, pomimo to, poleciałabym z ochotą na grzbiecie drapieżnego ptaka, by się zbliżyć do różowego obłoczka. Rozbudziwszy się zupełnie, przypomniała sobie, że nie trzeba mówić niedorzeczności, a tem samem nie trzeba o nich myśleć. Wzięła więc wrzeciono i zaczęła prząść, starając się nie myśleć o niczem; lecz pomimowolnie podnosiła głowę i patrzyła na niebo. Jastrzębia już nie było, tylko obłoczek stał ciągle.

— Kasiu, czego tak bezustannie patrzysz w górę? zapytał człowiek przechodzący ścieszką.

Był to kum Jędrzej, który ściął suche drzewo i gałęzie niósł na plecach. Było mu ciężko, oparł się o wierzbę, by sobie odpocząć.

— Patrzę na ten obłok, odpowiedziała Kasia, radabym dowiedzieć się, dla czego stoi nieruchomy i jest sam jeden. Jędrzeju, wy coście widzieli tyle rzeczy, tyle krajów dalekich, może mi to powiecie?

— Moje dziecko, gdybym był na okręcie, na morzu, nazwałbym ten obłok złą wróżbą. (C. d. n.)

Gadka

o królu Krakusie i królewnej Lubusie.

Nie było Krakusa w lesie. Tymczasem przechodził około dębu młynarz z czeladzią swoją. Rosły, prosto w górę strzelający dąb, spodobał mu się, lepszego na wał młyński trudnoby szukać było. Zadrżała rusałka, skoro piła żelaznemi

zębami poczęła przecinać podwaliny jej ulubionego mieszkania. Trwożnie spoglądała z wierzchołka, czy nie nadchodzi zbawca, lecz w przestrachu utraciła chwilowo nawet dar przewidywania i nie mogła odgadnąć przyszłości, podobnie jak mądrzy doktorowie nie wiedzą co począć, skoro śmierć do ich własnych drzwi zapuka.

Wszakże Krakus już był niedaleko, a zgrzyt piły niemile szumiał mu w uszach; przeczuwał już z dala, że coś niedobrego się święci i przyspieszył kroku i o zgrozo! zobaczył — jak okrutni młynarczycy niszczą drzewo, którego miał bronić. Z dzidą i błyszczącym mieczem, podobny szalonemu, rzucił się na nich i odpędził ich od roboty. Uciekli strwożeni niezmiernie, sądząc, że ich duch jakiś ściga. Na szczęście rana, jaką wycięła piła, nie była śmiertelną i po kilku latach zupełnie zarosła.

W chwili wolnej od pracy, wieczorem, gdy nowy przybysz wybrał sobie już miejce na chatkę i odmierzył krokami przestrzeń swojej pustelni, gdy właśnie rozważał urządzenie swej zagrody, gdzie zdala od świata życie przepędzić zamyślał w służbie towarzyszki, która, jak mu się zdawało subletniejszą była od mgły i widziadeł sennych — wtenczas to właśnie ukazała mu się rusałka nad stawem i miłym przemówiła głosem:

— Dzięki ci, mój miły przybyszu, iż obroniłeś drzewo mojego życia od nielitościwej siekiery twoich współbraci; wiedz o tem, że bóstwo co nam wiele sił i tajemnic powierzyło, nasze życie połączyło ż życiem dębu. My to sprawiamy, że król lasów, dąb, wysoko po nad gmin pospolitych dzew głowę swoję wznosi, my przyspieszamy obieg soków aby nabrał siły do oparcia się burzom i niszczącej sile czasu. Lecz i życie nasze od życia dębu zawisło, gdy się dąb, który nam od losu wyznaczony został, starzeje i my się starzejemy, a gdy umiera, i my umieramy i usypiamy snem długim, dopóki znów przypadek z nowym nie złączy nas drzewem, a wtenczas znowu nowe rozpoczy-

namy życie. Widzisz więc, jaką przysługę mi wyświadczyłeś, i jaka ci wdzięczność należy. Żądaj więc nagrody za twój szlachetny uczynek, powiedz czego ci potrzeba, a w tej chwili otrzymasz.

Krakus milczał. Postać pięknej rusałki bardziej go zachwyciła, niż jej mowa, której nie pojmował. Zobaczyła wiedźma jego pomięszanie i wyrwawszy źdźbło trzciny stawowej, złamała je na troje i powiada:

— Wybierz sobie jedno źdźbło, albo na chybił trafił bierz jedno z nich. W pierwszem masz sławę, w drugiem bogactwo, w trzeciem szczęście w miłości.

Młodzieniec spuścił oczy ku ziemi i rzekł:

— Niebianko, jeśli chcesz spełnić życzenia mojego serca, wiedz, że żadne z tych źdźiebeł, takowych w sobie nie zawiera. Czemże jest bowiem sława, jeśli nie podnietą pychy? czemże bogactwo, jak tylko źródłem skąpstwa, czem miłość? jeśli nie wynikiem namiętności, które psują serca nasze Pozwól mi więc w cieniu twego drzewa wypoczywać po trudach wojennych i przysłuchiwać się z twoich ust miłych nauce mądrości, która przyszłość odgadnąć może.

— Życzenia twoje — odpowiedziała rusałka, są wielkie, lecz zasługa twoja jeszcze większa, więc stanie się to, o co prosiłeś. Zniknie zasłona z przed twoich oczu cielesnych i zobaczysz tajemnice mądrości. Weź zatem i tę łupinę, kiedy owoc zabierasz; mędrzec bowiem sławę posiada, on jedynie jest prawdziwie bogatym, bo zawsze zadowolony tem, co posiada, a wreszcie używa prawdziwej rozkoszy miłości, bo jej nieczystemi usty nigdy nie zatruwa

Po tych słowach oddała mu owe trzy źdźbła i odeszła.

Młody pustelnik usłał sobie łoże z mchu pod dębem, niezmiernie ucieszony przyjęciem, jakiego od rusałki doznał. Sypiał snem twardym, a przez całą noc widziadła rozweselały jego wyobraźnię.

Obudziwszy się rozpoczynał ochoczo pracę: budował sobie chatkę pustelniczą, kopał ogródek, zasadzał róże, lilje pachnące kwiaty i zioła, kapustę, jarzyny, i dziczki poszczepił. Codziennie wieczorem odwiedzała go rusałka, cieszyła się jego pracą i wzdłuż stawu przechadzała się z nim pod rękę. Tu uczniowi swemu opowiadała tajemnice natury, uczyła, zkąd cały świat powstał, jak urządzony, co się działo i dziać będzie. Opowiadała mu i pokazywała własności ziół, kwiatów i kamieni i zwierząt i zwolna wykształciła nieokrzesanego wojaka na myśliciela i mędrca.

W miarę jak przez towarzystwo i nauki rusałki kształcił się i umysł i serce wojownika, cienista i mglista jej postać, stawała się coraz gęstszą, zdawało się mu, że mgła zamienia się zwolna w ciało. Jej pierś gorąca podnosiła się, czarne oczka ogniste rzucały spojrzenia i kiedy przyjęła postać dziewczęcia, obudziły się w jej sercu i uczucia dziewczęce.

W czułej wieczornej godzinie, był Krakus najszczęśliwszym z ludzi. Wesele odbyło się w cztery oczy, bez tańców i muzyki.

Rusałka urodziła szczęśliwemu ojcu trzy córeczki, które z kolei nazwał: Bela, Terba i Lubusa.

Wszystkie były piękne jak boginie, a choć nie z mgły ulepiona ich postać, przecież delikatniejsze były jak ich ojciec, z ziemskiej ulepiony gliny. Przytem żadnym chorobom dziecinnym nie podlegały, nawet kołyska dla nich była niepotrzebna, gdyż już po dziewięciu dniach biegały żwawo i wesoło po lesie. Skoro poczęły wzrastać, rozwijały się i ich dary przyrodzone, takie same, jakie posiadała matka; znały wszystkie tajniki przyrody i umiały przeszłość przepowiadać. Spełniło się więc, co mu rusałka w jednem z trzech trzcinowych ździebeł oddała, posiadał miłość żony i córek.

Krakus po kilku latach również nauczył się wszystkich tajemnic, jakie posiadała żona. Gdy wilk rozpędził owce

a pasterze nie mogli ich wynaleść, gdy rębacz zapomniał siekiery, szedł do Krakusa, który zaraz opowiadał, gdzie się zguba znajduje.

Gdy zły sąsiad ukradł cudzą własność, gdy nocą wyłamał drzwi lub oknem wszedł do chaty sąsiada i obrabował go, albo nawet zabił i go nikt nie mógł odgadnąć, kto był sprawcą zbrodni, udawano się do mądrego Kraka. Ten zwoływał zaraz wszystkich na łąkę, kazał im ustawić się w około i wpuszczał między nich nieomylne sito, które zawsze przestępcę trafiało.

Rosła tedy sława Krakusa po całym kraju, schodzili się do niego wszyscy, co rady lub pomocy potrzebowali, kaleki ułomni odchodzili uzdrowieni, przyprowadzano nawet bydło, które leczyć umiał. Choć nie przyjmował żadnego wynagrodzenia, choć nie chciał zysków ciągnąć ze swoich darów, nie mógł się jednakowoż oprzeć prośbom i zasypywano go codziennie niezliczonemi podarunkami. On to pierwszy nauczył swoich ziomków, jak złoto wymywać z piasku Elbiańskiego i ztąd otrzymywał dziesięcinę od wymywaczy. Budował zamki i pałace, niezliczoue trzody wszelkiego rodzaju bydła pasły się na jego niwie, daleko i szeroko ciągnęły się jego wioski, grunta i lasy. Tak nieznacznie otrzymał to, co mu w drugiem źdźble małżonka oddała.

(C. d. n.)

Gawęda o bocianie.

Wiatr chłodno wionął i mgłami kręci
Zima już blisko, ej, blisko!
Bocian poważny, stróż sianożęci,
Ropuszcza skrzydła tumani, męci,
I zwolna płynie na rżysko.
Siadł, zaklekotał, zwiesił dziób duży,
I zamknął poważnie oko;
Snać syn tutejszy marzy głęboko
O swej zamorskiej podróży.



Miłoż to lecieć w daleką stronę
Miło coś widzieć i wiedzieć,
A rozważając trudy minione,
Plondrować Nilu* brzegi zielone,
Na piramidzie posiedzieć.
Lecz ach! wiadomo jednemu Bogu
Czy ujdę śmierci lub klęski?
Czy wrócę jeszcze w kraj nadwiślański
Zobaczę znajomych w progu?

*) Rzeka w Egipcie.

O błonie polskie, cudneż to błonie!
Tu wszystko szczęściem rozmarzy.
Słonko ciepluchne, sianożęć wionie,
Dziatwa klekoce, a tam na stronie
Słychać brząkanie kosarzy.
Słodkoż tu było — Bóg wie co dalej?
Czy wracać będzie już po co?
Może dąb z gniazdem zamieć obali
Lub kry wiosenne zgruchocą?

Lepiejby swemi czuwać oczyma
W miejscu, gdzie szczęścia tak wiele;
Lecz piersi czują, że idzie zima
Na żółtej łące już żeru nie ma,
Za chwilę śnieg ją zaściele!
I tak — opiekun błoni ojczystej,
Wyprężył dziób swój czerwony,
Podbiegł, rozwinął lot zamaszysty...
Uleciał w cieplejsze strony.

Brzeżany.

Dawniej Brzeżany miały ogromne znaczenie i wielką sławę — a dziś są niby tylko grobowcem owych świetnych czasów. Niegdyś na tem samem miejscu leżała wioska, Brzegami zwana. Zygmunt I., król polski, darował ją Mikołajowi Sieniawskiemu w r. 1530. Ten wieś zamienił na miasto i w środku zbudował dólny zamek, dziś jeszcze ruinami swemi wielki. Sieniawcy rozszerzali i obwarowywali go coraz bardziej na zewnątrz, a wewnątrz ozdobami i bogatemi upiększeniami z zamkiem królewskim w Krakowie o pierwszeństwo się ubiegali. W r. 1676 nazwano zamek warownią i poruczono go szczególnej opiece hetmanów. To też nie raz doznał zamek napadów od Tatarów i Turków, a zawsze

dzielnie był broniony. Na utrzymanie warowni Sieniawscy ogromne sumy łożyli — więc też zamek ich słynął na całe Królestwo polskie i wiele czasów przeżył i przeróżne przechodził koleje.

Gdzież są dzisiaj te świetne czasy? Niegdyś wśród tych murów brzmiały okrzyki zgromadzonych magnatów, królów i książąt, na pokojach, dla ogromnego przepychu „złotemi“ zwanych, roiły się tłumy biesiadników, a w dziedzińcu nie raz mnóstwo było wojska, niecierpliwie oczekującego chwili walki.

Dziś zupełnie inaczej!

W owych pokojach złotych, gdzie królów i największych magnatów przyjmowano, dziś są wojskowe kasarnie — warownię zamieniono na skład rupieci, a resztę zamku wynajęto żydom na browar.

Gdyby to dzisiaj który ze Sieniawskich powstał z gro bu, to na sam widok takiego zniszczenia i takiej niedbałości, musiałby się na powrót w trumnę położyć.

Brzeżany leżą nad rzeką „Złotą Lipą,“ tak nazwaną dla urodzajnych pól, które przerzyna. Całe miasto położone przeważnie w dolinie i to o kilkadziesiąt stóp niżej od powierzchni stawu, który się ciągnie na północ od miasta. Ale przed wylewem stawu zabezpieczone jest miasto wielką groblą.

Miasto całe kształtem swoim podobne do krzyża, sam bowiem środek stanowi rynek, mający formę czworoboku, a przedmieścia ciągną się na cztery świata strony.

W rynku stoją kamienice, otaczające ratusz z kształtną wieżą. Na małym pagórku, na południowej stronie rynku, wznosi się wielki kościół farny, na wschodniej zaś stronie stoi cerkiew, a przy niej kościół ormiański. Oprócz tych trzech domów bożych, mają Brzeżany jeszcze klasztor Bernardynów, stojący na wysokiej górze, i na przedmieściu Adamówce małą cerkiewkę. Wszystkie te kościoły założone i zbudowane są przez Sieniawskich.

Teraz pójdźmy do zamku, aby zobaczyć te resztki wielkiej przeszłości.

Zamek dziś zupełnie inaczej wygląda, niż dawniej. Niegdyś w około oblewała go Złota Lipa, a dziś z dwóch tylko stron pozostała, resztę bowiem zasypano. Nad nią przed bramą główną, był wtedy wielki most zwodzony, a za nią w około zamku ciągnęły się dość wysokie wały. Dziś już ani tego mostu ani tych wałów nie ma; most bowiem już dawniej zamieniono na inny, a w miejscu wałów, które przed kilku laty skopano, rozciąga się ogród publiczny, przeznaczony do spacerów dla mieszkańców miasta. To też dziwnie, jakoś smutnie i niezgrabnie wygląda cały zamek, leżący w równinie, a pozbawiony wszystkiego, co mu na zewnątrz powagi dodawało i kształtów jego dopełniało.

A w samym zamku co za spustoszenie!

Przeszedłszy bramę, stoimy przed zamkową kaplicą, zbudowaną w kształcie krzyża. Resztki zewnętrznych piękności świadczą nam, jak piękną ona niegdyś być musiała.

Ale wejdźmy do wnętrza.

Tutaj zniszczenie przechodzi już wszelkie pojęcie, a przecież jest tu tyle rzeczy godnych zachowania.

Cała kaplica prawa, zbudowana z marmuru, a popod ścianami wznoszą się prześliczne marmurowe i alabastrowe pomniki grobowców Sieniawskich — takie same, jak królewskie w Krakowie. Każdy z Sieniawskich wykuty z marmuru, leży oparty na ręce i zdaje się dumać nad tem zniszczeniem, które go w około otacza. A Sieniawska wykuta z alabastru, leży tuż przy wielkim ołtarzu, zdaje się chować po za filary, aby nie widzieć tych pustek i tego nieładu. Lecz nie dość na tem. W lewej kaplicy, czysto wybielonej, stoi pięć trumien cynkowych, wielkich i stucznie po bokach wyrabianych, a na wierzchu leżą z kruszczu wylani tacy sami mężowie w zbrojach i każdy na ręce wsparty, jak na nagrobkach.

Stróż kaplicy za kilka centów otworzył nam wieko jednej trumny.

Co za okropny widok przedstawił się oczu naszym! We wnętrzu trumny metalowej ujrzeliśmy inną drewnianą, wybitą aksamitem, bez wieka, a w niej nic prócz kilku szat jedwabnych.

— A gdzież kości? spytałem.

— W lochu — odpowiedział stróż.

— Jakto? więc nie w trumnie?

— One w trumnie — odpowiedział — ale wszystkie zsypano do jednej i zostawiono w lochu, a te pięć próżnych postawiono w kaplicy, aby je widzieć można.

— A gdzież ubiory? spytałem, znając przepych z jakim chowano umarłych.

— O mój Panie! prócz kilku szmat nic już nie ma. Były karabele, ostrogi, pierścienie, szpinki, ale już dawno temu, jak to wszystko zabrano.

— Któżto je śmiał zabrać? spytałem zgorszony.

— Albo ja wiem.

Boli serce człowieka, gdy widzi, że to, co onby całował jako drogie z przeszłości pamiątki, inni świętokradzką ręką wydobyli z grobu, odarli ze wszystkich kosztowności i resztki zostawili, aby świat na to patrzał.

Wyszedłem co prędzej z kaplicy, bo mi powietrze wydało się za ciężkiem.

Ledwie nieco odetchnąłem świeżem powietrzem, aż oto ujrzałem wytaczający się z zamku długi wóz, obładowany beczkami z piwem, a równocześnie straż wojskowa uderzyła na znak do modlitwy, gdyż było to południe.

Spojrzałem po tym szerokim dziedzińcu, po którym niegdyś tyle tłumów się uwijało, ale pustym był; tylko po pod gankiem przed głównemi drzwiami przechadzał się żołnierz stojący na warcie.

A sam zamek jakżeż posępnie wygląda! Wysokie ganki, czarne od pyłu i brudu, mury poobdzierane, grzymsy wy-

szczerbione, nawet biednemu orłowi w kamiennym herbie na ścianie odbito głowę.

Oto ów sławny niegdyś zamek Sieniawskich.

Lepiejby mu może było, aby upadł w ruinę, bo szczerbatemi murów odłamkami, omszonemi kamieniami i gruzów kupą, wzbudzałby w ludziach patrzących miłe wspomnienia nie rażąc ich uczucia.

A gdybyśmy poszli do pałacu dzisiejszego dziedzica Brzeżan, jakżeż tam inny przedstawiłby się nam widok. O ćwierć mili od Brzeżan leży wioska Raj, w okolicy prawdziwie rajskiej.

Tam w przepysznym ogródku, pomiędzy klombami kwiatów, stoi śliczny pałacyk. Przed nim na kilkaset kroków w dolinie widać stawek, na którym łabędzie z dumą się przesuwają. A w koło ogrodu dziki las na wszystkie rozciąga się strony,

Tak ślicznego miejsca nie łatwo znaleść u nas.

To też mieszkańcy miasta Brzeżan latem prawie codziennie tłumnie zwiedzają ten ogród, stanowiący jeden z najprzyjemniejszych spacerów miasta.

Oprócz tego spaceru ma miasto jeszcze wiele innych, leży ono bowiem w środku pomiędzy pagórkami, pokrytemi lasami rozmaitego drzewa. W ogóle powiedzieć można, że rzadko znaleźć tak piękną okolicę, jak okolica Brzeżan.

O jednem tylko jeszcze wspomnieć wypada. Sieniawscy broniąc swój zamek przeciw napadom Tatarów, wielką ich liczbę zabrali do niewoli, a później pozwolili im zrobić sobie osadę w Brzeżanach, nadając im grunta, ziemię i materyały do budowy. Osada ta do dzisiejszego dnia jeszcze się zachowała, jakkolwiek całe przedmieście, Adamówką zwane, zupełnie dzisiaj zastosowuje się do reszty ludności miasta i nawet religią wcale się od niej nie różni. Został im tylko jakiś duch dziki i niezgodliwy, namiętność niezwykła i niczem niewytłumaczona ponurość.

Franek z nad Lipy.

LUTY ma dni 28.

Dni		święta rzymskie	święta ruskie
1	Sobota	Ignacego Biskupa M. .	20 Ewfymija Weł.
2	Niedz.	**4. po 3 król.** M. G. P.	21 **N. 3 po Boh. Hl. 8**
3	Ponied.	Błażeja Biskupa Męcz.	22 Tymofteja
4	Wtorek	Weroniki	23 Kłymentia M.
5	Środa	Agaty P. M.	24 Xenyi Prep.
6	Czwart.	Doroty P.	25 Hryhoria
7	Piątek	Romualda Op.	26 Ksenofonta
8	Sobota	Jana z Malty	27 Joanna Chryz.
9	Niedz.	**Staropust.** Apolonii P.	28 **N: 4. po Boh. Hl. 1**
10	Ponied.	Scholastyki P.	29 Ihnatyia Jep.
11	Wtorek	Lucyusza B.	30 Wasyłia Weł.
12	Środa	Eulalii P. M.	31 Kyra i Joan.
13	Czwart.	Katarzyny Panny	1 **Fewral** Tryf.
14	Piątek	Walentego B. M.	2 **Strytenje Hosp.**
15	Sobota	Faustyna Męczennika	3 Symeona i Anny
16	Niedz,	**Mięsopost.** Julianny P.	4 **N. 5 Obł. w Hl. 2**
17	Ponied.	Konstancji Panny	5 Ahafii Mucz.
18	Wtorek	Flawiusza M.	6 Wokuły Smyr
19	Środa	Konrada Pust.	7 Partenya
20	Czwart.	Nicefora M.	8 Fteodora S.
21	Piątek	Eleonory Kr.	9 Nykyfora M
22	Sobota	Piotra Kat.	10 Charłampija
23	Niedz.	**Zapust.** Romany Panny	11 **N. o str. sud. Hl. 3**
24	Ponied.	Macieja Apostoła	12 Mełetija Arch.
25	Wtorek	Wiktora	13 Martymijana
26	Środa	**Popielec.** Wiktora z Ar.†	14 Auxentia
27	Czwart.	Aleksandra B.	15 Onysyma Jep.
28	Piątek	Leandra B.	15 Pamfyłija

Zmiany księżyca.

Pierwsza kwadra d. 4 o godz. 11 przed południem. — Pełnia d. 12. o godz. 12. w południe. — Ostatnia kwadra d. 20. o godz. 12 w południe. — Nów d. 27. o godz 4 rano.

2. Przypowieści miesięczne.

Zwykle Luty — Ostro kuty!
Zapyta Luty — Masz li dobre buty?

Czasem Luty się zlituje — Że człek niby wiosnę czuje;
Ale czasem tak się zżyma — Że człek prawie nie wytrzyma.

Niedziela dnia 2. N. Panny Gromnicznej.

Gdy na Gromnice niedźwiedź budę naprawia, to dalej będzie zima,
A jak budę rozrzuca — to już zima nie wytrzyma.

Wtorek dnia 4. Ś. Weroniki.

Święta Weronika — Słonko pomyka;
Więc przez przyczynę świętej Weroniki —
Niech się na ciepło cieszą dziewki i chłopczyki.

Środa dnia 5. Ś. Agaty.

W dzień świętej Agaty —
Jeśli słonko przez okienko zajrzy do chaty —
To wiosenka na świat pogląda z zazimowej kraty.

Czwartek dnia 6. Ś. Doroty.

Po świętej Dorocie — Schną już chusty na płocie,
A jeżeli nie schną — To mrozy człeka jeszcze do chałupy wepchną.
Od świętej Doroty — Opatruj płoty.

Piątek dnia 14. Ś. Walentego

Na świętego Walentego — Bywa zwykle mróz niczego,
To dobrze!— Bo jak Walek się rozdeszczy—To mrozy wrócą jeszcze.

Sobota dnia 22. Katedry Ś. Piotra.

Podobnież z świętym Piotrem, jeżeli Piotr grzeje —
To za wiosną potrzykroć kur jeszcze zapieje.

Poniedziałek dnia 24. Ś. Macieja.

I również, jeżli Maciej lodów nie roztopi — Będą jeszcze chuchali w zimne ręce chłopi.
A jak ciepło na Macieja—To już wiosny nadzieja.

Środa dnia 26. Popielec czyli Wstępna Środa.

W Wstępną środę — Zapuść brodę;
Bo o wiośnie wszystko rośnie;
Nie czas się już brzytwą bawić — Kiedy trzeba w polu sprawić,
A i Bóg też wiedzieć musiał—Po co włos na brodzie usiał.

Rzeczy kościelne.

Sobota dnia 1. Ś. Ignacego.

Ignacy między lwami głodnemi zawarty,
Zawołał: „Ziarnem jestem! niech zębami starty
Będę, bylebym chlebem został na stół Pański,
Wytrzymam ognie wieczne, wszystek jad szatański,
A zostanę przy Wierze świętej nieprzeparty!“
Usłyszał Bóg tę mowę, lwy się rozsunęły,
Choć głodne, Ignacego wcale się nie tknęły.

Środa dnia 5. Ś. Agaty.

Srogi tyran Agatę na męczeństwo skazał,
Szarpaniem czystych piersi bezbożnik się zmazał.
Potem nielitościwy na stosie ją pali,
A ona wśród płomieni Imię Pana chwali.

Niedziela dnia 9. Ś. Apolonii.

Zaślepieni poganie w zwierzęcej wściekłości,
Świętą Apolonię biją bez litości,
Tłuczona w twarz pięściami, zęby postradała,
Przecież od świętej Wiary odwieść się nie dała;
Dla tego lud pobożny, pełen dla niej cześci,
Mieni ją swą patronką od zębów boleści.

Niedziela 9. lutego Staropustna Ewangelja u św. Mateusza rozdział 20.

W tę Niedzielę czyta się przypowieść Chrystusowa: O gospodarzu, który najmował robotników do winnicy swojej. Jednych wezwał z samego rana, drugich o godzinie 3ej (według naszego zegara o 9tej), innych o godzinie 6tej (według naszego 12tej), innych znowu o 9tej, (naszej 3ej), ostatnich o godzinie 11ej (to jest wieczorem o 5tej). Przy wypłacie dał wszystkim całodzienną nagrodę. I szemrali ci, co od zana pracowali, dla czego wypłacono wszystkim po równi? Naganił Zbawiciel tę zazdrość, naprzód dla tego, że ten gospodarz nie uczynił krzywdy nikomu, kiedy wypłacił podług umowy, a miał przecież prawo dać ze swoich pieniędzy tyle tym ostatnim, ile pierwszym. Powtóre, nauczył, że nie długość pracy się nagradza, ile gorliwość i pilność. I kończy tę przypowieść tą nauką: Wielu ludzi służy Bogu długo, ale gnuśnie, i myślą, że im należy większa nagroda, niżeli innym, którzy później na służbę Bogu się oddali, kiedy tymczasem ci późniejsi, swoją wiernością i gorliwością zasłużą na większą nagrodę. „Wielu bowiem jest wezwanych, ale mało wybranych.“

Piątek dnia 14. S. Walentego.

Udarowan od Boga dusznemi talenty,
Bałwany pogan kruszy wymową Walenty,
Cierpiał wielką chorobę, więc od tej choroby
Wierny opieki jego wzywa każdej doby.

Niedziela 16. lutego Mięsopustna. Ewangelja u św. Łukasza rozdział 8.

Pewnego razu powiedział Pan Jezus przypowieść o gospodarzu,

dobrze rozbić. Tym sposobem zatrzymuje dłużej słodycz i ścinać się nie będzie.

Masło. Chcąc długo masło utrzymać w dobroci, bierze się dwie części dobrej kuchennej soli, jednę część cukru, jedną część saletry, mieszają się razem, i z tej mieszaniny bierze się dwa łuty na każdy funt masła, ugniata się z niem mocno i zachowuje do użycia. Tak solone masło nabiera tłustej, szpikowatej własności i piękniejszego koloru, nigdy nie smakuje zbyt słono, ani się kruszy, a bardzo długo przechować się daje. Po trzech lub czterech dopiero tygodniach, bierze się do użycia, a to, aby się sole dostatecznie rozpuściły i z masłem się zmieszały.

Chcąc masło zjełczałe naprawić, trzeba je rozpuścić nad wolnym żarem i włożyć do niego skórkę chleba mocno uprażoną.

Ser. Żeby suchy ser dawał się łatwo krajać, trzeba sér świeży, zwyczajnym sposobem zrobiony, położyć na półce, i przykryć go płótnem gęstem, żeby powietrze do niego nie dochodziło, okien nie otwierać i izby nie opalać. Sery takie trzeba codzień przewracać na drugą stronę, aż pokryją się pleśnią i cuchnąć zaczną, co po dwóch albo trzech tygodniach nastąpi; wtenczas zdjąć płótno na tydzień lub dni dziesięć, by pleśń trochę zczerstwiała i wymyć sery w serwatce tak gorącej, że w niej rękę ledwo utrzymać można, odmieniając dwa lub trzy razy serwatkę gorącą, aż dopóki sery do czysta się nie wymyją. Poczem porozkładać sery na czystych półkach, wpuszczając już po potrochę wolnego i świeżego powietrza, nie okrywając ich płótnem i koniecznie dwa razy dziennie przewracać. Gdy dobrze obeschną, chować je w życie suchem. Przed użyciem obmyć ser w dwóch albo trzech wodach gorących, i dać mu nieco obeschnąć.

Redaktor i wydaw. odpowiedz. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.„